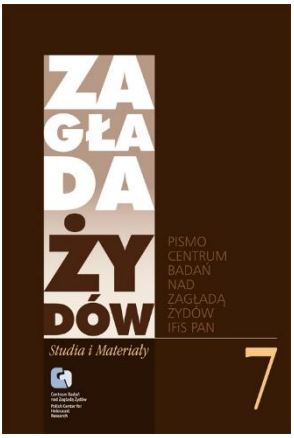

Zagłada Żydów. Studia i Materiały
Holocaust Studies and Materials

VOL. 7 (2011)

ISSN: 1895-247X
eISSN: 2657-3571
DOI: 10.32927
WWW: www.zagladazydow.pl

Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN
Polish Center for Holocaust Research

Harald Welzer, Sprawcy. Dlaczego zwykli ludzie dokonują masowych mordów, tłum. Magdalena Kurkowska, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe Scholar, 2010, 321 s.

Sławomir Buryła
Instytut Filologii Polskiej, Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie

redakcja@holocaustresearch.pl
ORCID: https://orcid.org/0000-0001-9838-0467

DOI: https://doi.org/10.32927/zzsim.814
Strony/Pages: 555-558

CC BY

OPEN ACCESS

Harald Welzer, *Sprawcy. Dlaczego zwykli ludzie dokonują masowych mordów*, tłum. Magdalena Kurkowska, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe Scholar, 2010, 321 s.

Analogiczne pytanie jak to, które stawia Harald Welzer w książce pt. *Sprawcy*, od lat towarzyszy innemu, o wiele bardziej znanemu autorowi – Philipowi Zimbardo. Słynny psycholog amerykański powraca do niego w przełożonej ostatnio na język polski pracy *Efekt Lucyfera*. Zestawienie obok siebie tych dwóch nazwisk nie jest bynajmniej przypadkowe. Zarówno Welzer, jak i Zimbardo są bowiem przedstawicielami psychologii społecznej. Welzer zresztą sporo zawdzięcza rozpoznaniom Zimbardo (zwłaszcza tzw. eksperymentowi stanfordzkiemu).

Na postawioną w podtytule wątpliwość: „Dlaczego zwykli ludzie dokonują masowych mordów", Welzer nie może inaczej odpowiedzieć, niż zezwala na to psychologia społeczna. W *Sprawcach* nie znajdziemy zatem holistycznej odpowiedzi (uwzględniającej różne punkty widzenia) na złożoną kwestię etiologii zła. Ta zaś, jaką otrzymujemy, jest jedną z serii naukowych hipotez, o których prawdziwości w poważnym stopniu przesądzają przyjęte założenia metodologiczne. Niemniej warto się nad nią zastanowić. Chociażby dlatego, że badacze z kręgu psychologii społecznej zaproponowali nowe podejście do źródeł, przez wiele lat niedoceniane. Postanowili wziąć za dobrą monetę deklaracje oprawców, w których kaci postrzegają siebie jako przyzwoitych ludzi, a swoją aktywność w czasie wojny jako moralną. Przyjęli, że wypowiadający te słowa esesmani nie byli zwykłymi cynikami albo też jednostkami nie do końca zorientowanymi, w czym uczestniczą. Ich sądy nie były rezultatem skrajnego zakłamania. Konstatacja tego typu może wprawdzie zaskakiwać, ale nie musi dziwić.

Analizując relacje członków 45. Batalionu Policji, Welzer zauważył, iż u zdecydowanej większości nie pojawia się choćby namiastka dyskomfortu psychicznego. „W protokołach zeznań nigdzie nie znajdziemy dowodów [...] poczucia winy, empatia w stosunku do pojedynczych ofiar pojawia się tylko w niezwykle rzadkich przypadkach, czasem wobec dzieci, które i tak zamordowano. [...] Nie dysponujemy żadnymi informacjami na temat sprawców (w odróżnieniu od ocalałych ofiar), które wskazywałyby na to, że nie radzili sobie oni ze swoim życiem czy w większej liczbie, wykluczającej przypadek, potrzebowali opieki psychiatrycznej, albo zgłaszali się na terapię czy do instytucji udzielających pomocy psychologicznej i socjalnej" (s. 237). Ich snów nie nawiedzały koszmary nocne. Nie budzili się z przerażeniem w oczach. Zasypiali za to spokojnie, bez środków nasennych. Jak to możliwe?

Za sprawą książek Christophera Browninga (*Zwykli ludzie*) oraz Daniela Goldhagena (*Gorliwi kaci Hitlera*) sporo dziś wiemy o specyficznych oddziałach, jakimi

były bataliony policji (bardzo długo zresztą marginalizowane i niemal nieobecne w historiografii dotyczącej Trzeciej Rzeszy). To jednostki wojskowe, w których służyli zwyczajni Niemcy, głównie ci, którzy z różnych powód nie znaleźli się w Wehrmachcie. Reprezentowali oni przy tym szeroki wachlarz społeczny. Znajdziemy wśród nich osoby o różnym pochodzeniu klasowym, poziomie wykształcenia, wreszcie w różnym wieku. Jako takie bataliony policji stanowią zatem doskonałą i miarodajną próbę socjologiczną. Odsetek psychopatów i sadystów w tym gronie nie był większy niż w całej populacji hitlerowskiej Rzeszy. Nie byli to więc urodzeni mordercy, wysyłani na front w celu wykonania „brudnej roboty". Nie z takim zamiarem udawali się na Wschód. Zapewne też olbrzymia większość z nich, jeśli nie wszyscy, była przekonana, iż nigdy nie zabiłaby bezbronnej kobiety czy dziecka. Oni bowiem dopiero stawali się mordercami, sami jeszcze o tym nie wiedząc. Kto jednak uczynił ich zbrodniarzami? Kto ulokował ich w szkole zbrodni, w której edukacja, mimo iż krótka, przynosiła potworne efekty? Według Welzera i Zimbardo tym, co przeistoczyło niczym niewyróżniających się członków batalionów policji w sprawnych i bezwzględnych zbrodniarzy, była sytuacja, w jakiej się znaleźli. W punkcie wyjścia bowiem sprawcy i ofiary pod względem konstrukcji osobowości byli do siebie podobni. O straszliwej metamorfozie zadecydowały warunki zewnętrzne. Przekonuje nas o tym eksperyment stanfordzki Zimbardo, traktujący o wymienności ról kata i ofiary, ale i klasyczne doświadczenie Stanleya Milgrama nad posłuszeństwem wobec autorytetu. Zastanawiając się nad zachowaniem członków batalionów policji, Welzer odnotowuje stymulujący wpływ grupy. Obawa, aby w oczach kolegów i przyjaciół nie okazać się tchórzem, mięczakiem, a tym samym nie zostać symbolicznie z niej wykluczonym, oddziaływała niezwykle silnie. Presja grupy sprawiała, że jednostka robiła wszystko, aby się dopasować do obowiązujących schematów zachowań i zaakceptować przyjęty system wartości. Oprócz swoistego autorytetu grupy funkcjonował inny – dowódcy. Rozmiękczaniu ewentualnego oporu jednostki służył też znany chociażby z *Nowoczesności i Zagłady* Zygmunta Baumana proces rozproszenia odpowiedzialności, przekonanie, że nawet ten, który naciska na spust, nie jest w pełni odpowiedzialny, skoro stanowi zaledwie trybik w machinie, a jego protest niczego by nie zmienił. I tak oto oprawca we własnych oczach mógł uchodzić za przyzwoitego osobnika, a nie zbrodniarza. Nikt przecież nie lubi o sobie myśleć, że jest złym człowiekiem.

Momentem szczególnym na drodze stawania się mordercą jest ten, kiedy w śmierci niewinnych ofiar sprawca przestaje widzieć przekroczenie tabu, radykalne i nieodwracalne pogwałcenie zakazu kulturowego, a dostrzega zaledwie problem technologiczny. Aby to osiągnąć, należało stworzyć taki „system odniesienia, w którym nie było cienia wątpliwości co do tego, że podejmowane działania są słuszne i konieczne". Od tej chwili zabijanie miało już tylko aspekt pragmatyczny. Stało się zwykłą czynnością, towarzyszącą codziennym obowiązkom. Jedyne, co można jeszcze było zrobić, to zadbać o usprawnienie pracy. W takich oto warunkach do głosu dochodziła zgubna niemiecka potrzeba perfekcji i solidności. Tyle tylko, że nie usprawiedliwiała już ich tradycyjnie pojęta moralność, lecz ta, której

prawodawcami byli hitlerowscy notable. Tym, na czym koncentrowała się od tej chwili uwaga sprawców, była dbałość o maksymalne usprawnienie mechanizmu zbrodni i szybkie reagowanie na wszelkie trudności, jakie każdorazowo wyrastały przed wykonawcami.

Gdy uchylono fundamentalne pytanie o to, czy wolno zabijać, udzielając na nie odpowiedzi twierdzącej, kolejnym etapem okazało się rozwianie innej wątpliwości: jak to uczynić? Chodziło o sposób wykonania powierzonej misji. W tak niesprzyjającym otoczeniu, wrogim jakiejkolwiek myśli etycznej, rodzi się nowa moralność, która powiada, że można zabijać mniej lub bardziej humanitarnie, mniej lub bardziej „ludzko", że samo zabijanie może być „ludzkie" i nie musi oznaczać sprzeciwiania się przykazaniom sumienia. Powstaje projekt etyczny, w którym za moralne uchodzi to, co do tej pory uznawane było za niemoralne. Jeśli więc morderca nie czuł się winny, to dlatego, że uwierzył, iż obsadzono go nie w roli okrutnika, ale realizatora idei nadmoralności, którą z narażeniem reputacji porządnego obywatela próbował wcielić w życie. Mógł postrzegać siebie jako niemal męczennika sprawy ludzkości. Zabijanie pojmował jako coś odrażającego, uwłaczającego godności żołnierza Hitlera, lecz zarazem koniecznego. Jak jednak w kontekście świadectwa z działań okupanta na ziemiach polskich i na terenach ZSRR utrzymać w mocy przeświadczenie wielu esesmanów i gestapowców o sobie jako o przyzwoitych osobnikach wykonujących tylko to, co do nich należy? Chodzi o przypadki gwałcenia ofiar przed egzekucją, poniżania i znęcania się nad starcami i dziećmi, ale też różnego rodzaju nadużycia finansowe, jakie popełniali esesmani. Czy nie kwestionują one „etyki przyzwoitości", w którą wyposażyła sprawców wyższa moralność narodowosocjalistyczna? Zgodnie z nią bowiem należało nie mieć do ofiary żadnego stosunku emocjonalnego, a skazańcowi zapewnić humanitarną śmierć.

Czy – słusznie dowartościowując rolę sytuacji w procesie stawania się mordercą – psychologowie społeczni nie zapominają o wymiarze wolicjonalnym człowieka? Czy nie deprecjonują woli? Wydaje się, że odpowiedź na to pytanie nie jest wcale prosta. Z jednej strony wola i wiążąca się z nią zdolność podejmowania autonomicznych decyzji konstytuuje nas jako ludzi, jednostki odpowiedzialne, z drugiej wiadome jest, iż niezbywalne w nas prawo do swobodnego działania nie stanowi wartości bezwzględnej, ale raczej taką, która podlega stopniowaniu. Welzer nie twierdzi, że w sytuacjach granicznych nie znajdziemy osób potrafiących odeprzeć pokusę wyrządzenia zła innemu. One nie tylko nigdy nie zabiją, ale pomogą, choćby to miało od nich wymagać niezwykłego bohaterstwa i nieprzeciętnej odwagi. Tacy ludzie są i będą zawsze. Psychologów społecznych nie interesują jednakże przypadki odosobnione, chwalebne wyjątki, godne budujących opowieści i obrazów filmowych. Welzera i innych zajmują przewidywalne zachowania, takie, które muszą wystąpić przy określonych warunkach zewnętrznych. Ale pozostają do rozpatrzenia też inne czynniki modyfikujące postawę jednostki: ideologia, predyspozycje psychiczne, wychowanie w domu rodzinnym, doświadczenie życiowe. Nie można od nich abstrahować, rozważając postępowanie nazistowskiego kata. Trudno oprzeć się wrażeniu, że psychologia społeczna nieco bagatelizuje ich rangę.

Książka Welzera upewnia nas, iż „epoka pieców" nie zna jednego portretu sprawcy. Dość sięgnąć po teksty literackie, by się przekonać, że mordercy mieli różne oblicza. Czy bowiem da się w jednym szeregu ustawić: profesora Spannera Zofii Nałkowskiej, niepozornego i dobrotliwego wręcz pana w zielonym kapelusiku z opowiadań oświęcimskich Tadeusza Borowskiego, zaczadzonego ideologią młodego komendanta obozu z *Trismusa* Stanisława Grochowiaka, rozbudzoną seksualnie (i uczuciowo?) bohaterkę noweli Mariana Pankowskiego *Moja SS Rottenführer Johanna*, dekadenckiego i zepsutego kata ze *Szczurzego pałacu* Bogdana Ruty. Za wskazanymi tu różnymi odmianami zbrodniarza kryją się nie tylko różne osobowości i biografie, lecz także odmienne eksplikacje i etiologie.

Psychologia nie oferuje jednego wytłumaczenia zachowań zbrodniczych, podobnie jak teologia, filozofia czy socjologia. Gdyby stworzyć swoistą klasyfikację oprawców, okazałoby się, że istnieje kilkanaście (kilkadziesiąt?) typów morderców, pośród nich jedne są częściej spotykane, a inne rzadziej. Do tych rzadszych należą z pewnością sadyści (wbrew temu, w co skłonni byliśmy wierzyć jeszcze kilkadziesiąt lat wstecz, zwłaszcza w pierwszym okresie po zakończeniu wojny).

Z czasem zmieniają się nasze wyobrażenia na temat sprawców. Wynika to zarówno z przyrostu wiedzy (tak psychologicznej, socjologicznej jak historycznej), jak też ze zmiany naszego podejścia do zachowanych świadectw. Eksplikacje, które wcześniej wydawały się oczywiste i nie budziły wątpliwości, teraz opatrywane są znakami zapytania. Można odnieść wrażanie, że jesteśmy coraz dalsi od ferowania arbitralnych rozwiązań, a coraz bliżej nam do postawy właściwej sztuce i nauce – zdziwienia. Coraz wyraźniej zarysowuje się przed nami oczywista prawda, iż nic, co dotyczy ludzkiej psychiki, nie jest proste. Poznając jej obszary, musimy raczej przystać na to, że nigdy nie uda nam się odszyfrować genomu psychiki ludzkiej. Chcąc nie chcąc, winniśmy się zgodzić na tajemnicę, mimo iż nie jest to konstatacja komfortowa dla naukowca, a zapewne i dla zwykłego człowieka, który przecież woli wiedzieć, niż żyć w perspektywie nieprzezwyciężalnej niepewności.

Obcując od dłuższego czasu z pytaniem o przyczyny przerażającej transformacji zwykłego człowieka w zbrodniarza, dochodzę do banalnego wniosku, że nie ma prostej odpowiedzi, że nigdy nie odnajdziemy jednego klucza otwierającego drzwi z napisem „oprawca". Czy nauka kiedykolwiek rozwikła zagadkę kata i odpowie definitywnie na pytanie: dlaczego? Zdaje się, że nie, choćby z tego względu, że mechanizm naszej psychiki jest nader złożony, a liczba czynników zewnętrznych (o które słusznie upominają się psychologowie społeczni), rzutujących na nasze zachowanie, teoretycznie nieograniczona i w praktyce niemożliwa do odtworzenia w całym swym skomplikowaniu. Możemy liczyć – w najlepszym razie – na rozwiązania połowiczne, powstające na przecięciu różnych metodologii i obszarów wiedzy, prawdziwe jedynie w ich obrębie. Praca Haralda Welzera to jedna z tych, które tłumaczą wiele, ale nie wszystko, co składa się na tajemnicę skrywaną przez wnętrze nazistowskiego oprawcy. Aby zobaczyć pozostałe elementy portretu mordercy, należy wyjść poza ramy psychologii społecznej.

Sławomir Buryła